Zeszyt 26. Lwow dnia 20. Września 1879 **Rok I.**

STRZECHA OJCZYSTA

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

PRENUMERATA	WYCHODZI	W. MANIECKI
kwartalnie 1 złr. 50 ct. = 3 mark.	dnia 10go, 20go i 30go każdego miesiąca.	Wydawca i odpowiedz. za Redakcją

Prenumeratę i inseraty przyjmuje księgarnia F. H. Richtera, plac Marjacki, hotel europejski.

ZŁAMANE SERCA.

Powieść

PRZEZ AUTORA „CHORÓB GALICJI.“

(C. d.) O śmierci pana Czarkowskiego, Wandzia i jej ojciec dowiedzieli się dopiero nazajutrz. Wojciech tak głowę stracił, zobaczywszy, że jego pan nie żyje, a potem z taką wytrwałością siedział przy jego martwych zwłokach, nie chcąc ich na krok odstąpić, że mu na myśl nie przyszedł pan Wybicki; ten zaś w tym dniu, jakby umyślnie, z domu nie wychodził. Dopiero nazajutrz wyszedłszy z córką do miasta, dowiedział się o śmierci z kartek pogrzebowych, a o testamencie nieboszczyka, od któregoś ze znajomych. Nie chcąc dać temu wiary, pobiegł pod Cytadellę. Tu otrzymał potwierdzenie. Pan Czarkowski w rzeczy samej nie żył, jego zaś siostrzeniec był wydziedziczony. Zmówiwszy pacierz przy zwłokach zmarłego, wrócił do domu smutny, a gdy Storch przyszedł, usiedli w trójkę i radzić zaczęli. Wkrótce stanęło na tem, że do Juljana nie ma potrzeby telegrafować; wystarczy, jeźli mu się listownie o śmierci wuja doniesie. Człowiek jak on uczuciowy, porzuciłby wszystkie interesa i pędziłby na pogrzeb, na który pewnieby nie zdążył, a sam nie mało by na tem stracił. Prócz tego w liście, który miał napisać pan Wybicki, z odpowiednim Wandzi dopiskiem, można mu było i więcej donieść i łatwiej go uspokoić.

Wandzię bardzo to oburzyło, że pan Czarkowski tak niesprawiedliwie postąpił sobie z jedynym krewnym, jakiego miał na ziemi; niesprawiedliwość bowiem oburza najbardziej dusze jak jej czyste; szczególnie bolał ją w testamencie ustęp, mówiący o niewdzięczności Juljana. Wszak ona była tak pewną, że to potwarz! Z drugiej natomiast strony nie robiła sobie nic z tego, że jej narzeczony nie otrzymał majątku, który mu się tak słusznie należał. Kto wie nawet, czy się tem w głębi duszy nie ucieszyła, chociaż myśli swoich przed nikim nie zdradziła.

— Jam biedna i on biedny — mówiła sobie w duchu — będziemy więc wspólnie pracowali i wspierali się wzajemnie. Kto wie nawet, czy to nie lepiej, że od ciężkiej pracy zaczniemy.

Pan Wybicki całkiem już inaczej zapatrywał się na tę sprawę. Zaznawszy sam biedy, i wiedząc, jaką pieniądz ma wartość, wolałby był, aby przyszły zięć jego był człowiekiem zamożnym i nie potrzebował nigdy przechodzić takich jak on kolei; bardziej jednak to go gniewało, że majątek, który Juljanowi się należał, dostał się takiemu łotrowi jak Czudek i osobie tak wątpliwej wartości jak Ragner; w końcu nie podobała mu się także hipokryzja nieboszczyka.

— Przyjął nas tak serdecznie — myślał sobie w duszy — ze łzami w oczach błogosławił Juljanowi i Wandzi, a jak przyszło testament spisywać, figę im zostawił. To nie dziwak — to dziwoląg!

Storch milczał, usta przygryzał i głowę bardzo męczył, co poznać było po zmarszczkach na jego czole. W końcu przemówił.

— Co do mnie, nie wątpię, że jest tu w grze jakaś intryga szatańska. Przecie wiem, jak nieboszczyk kochał Juljana, a to, że nie zdał matury, przebaczył mu od czasów niepamiętnych. Widocznie usposobili go inaczej dopiero po wyjeździe Juljana... Zapewne musieli na niego rzucić jakąś potwarz ohydną... Kto wie, czy nie podrobili nawet jakich listów, dokumentów, aby chorego łatwiej otumanić... Najbardziej to mnie

na te myśli naprowadza, że nieboszczyk przy końcu testamentu nadmienił, iż o nieprzychylności swego siostrzeńca, przekonał się dopiero po jego odjeździe do Wiednia. Tak jest, tu musi być w grze jakaś intryga szatańska!

Wandzia i jej ojciec, wysłuchawszy tych uwag, przychylili się do zdania Storcha i odtąd usprawiedliwiali pana Czarkowskiego, ale za to tem większą niechęć uczuli dla jego spadkobierców.

Stary Wojciech był ciągle jakby bezprzytomny. Śmierć, której się nie spodziewał, wydziedziczenie panicza, którego kochał i szanował, zapisanie majątku ludziom, których nienawidził, bo i doktor jakoś mu się nie podobał, wszystko to na staruszka tak podziałało, że chodził jak odurzony, nie wiedząc co robić i mówić.

Gdy lekarz wręczył mu owe pięćset guldenów, które nieboszczyk mu zapisał, stary sługa poszedł do swojej izdebki, a odłożywszy pieniądze, załamał ręce i jak dziecko się rozpłakał. I płakał długo, przeszło godzinę, a chociaż myśli nie mógł zebrać, chociaż w uszach miał szum niezwykły, przecie był jeszcze na tyle przytomnym, że podnosząc się rzekł do siebie:

— Nie, to być nie może! Oni chyba testament sfałszowali!...

XXI.

W ośm dni po pogrzebie wuja, przyjechał Juljan.

Wielkie to szczęście dla narzeczonych, jeżeli dobiorą się pod względem uczuć, temperamentów, zamiłowań, ale nierównie większe, jeżeli ich charaktery zostają z sobą w zgodzie zupełnej. Ludzie tak dobrani mogą śmiało iść w świat drogą stromą i skalistą, nie bojąc się rozczarowań.

Juljan i Wandzia jakkolwiek urodzili się i wychowali na dwóch przeciwnych świata krańcach, mieli jednakowe zasady, wspólny pogląd na ludzi i życie, jednakowe o tem wyobrażenie, co dobre a co złe, co piękne a co brzydkie. Wszakże nigdy ta zgodność nie wystąpiła tak jasno, dobitnie i razem wspaniale, jak po przyjeździe Juljana. Pamiętamy, że Wandzia nie żałowała majątku, który jej narzeczonego a więc i ją ominął; ją jedynie to bolało, że pan Czarkowski niesłusznie potępił swego siostrzeńca. Juljan nie żałował także pieniędzy, na które szczerze to wyznajemy, nigdy nie liczył, staraniem bowiem jego było dojść własną pracą do bytu niezależnego; lecz to go głęboko zmartwiło, że wuj, którego on kochał, poważał, któremu radby był nieba przychylić, że ten wuj go potępił. Że go ktoś przed umierającym oczernił, i że oszczercą nie był nikt inny, jak Czudek, o tem ani chwili nie wątpił. Ale jak wuj mógł zaufać człowiekowi obcemu? Czemu przynajmniej po Storcha nie posłał? Ten byłby mu dał pewnie dobre wyjaśnienia.

Za namową Storcha, z własnej bowiem woli może by tego nigdy nie był uczynił, poszedł do sądu, aby się przypatrzeć testamentowi. Poznawszy pismo Czudka, gorzko się uśmiechnął. Więc on był przy umierającym! — pomyślał. — Jakże tu się teraz dziwić, że testament tak wypadł! Co do podpisu ten był wprawdzie zmieniony, ale Juljan uznał to za rzecz naturalną. Wszak człowiek konający, zwłaszcza na cierpienia reumatyczne, które mu palce wykrzywiały, nie może pisać wyraźnie. Zresztą podpisy świadków obecnych, były, zdaniem jego, dowodem dostatecznym, że testament został legalnie spisany.

— A tego Villaniego znasz osobiście? — zapytał Storch, gdy z sądu wychodzili.

— Pierwszy raz słyszę, — Juljan odpowiedział — że taki człowiek istnieje.

— Zkądże się wziął przy twoim wuju?

— Zapewne go Czudek sprowadził, a może i Ragner.

— A wiesz co się w tym czasie z Wojciechem działo? — Storch znowu zapytał.

— Stary Wojciech mówił mi właśnie dziś rano, że podczas spisywania testamentu, czekał w aptece na lekarstwo.

Storch z niedowierzaniem mruczał i głową kręcił. Potem rzekł:

— Im dłużej myślę o tym testamencie, tem bardziej wątpię o jego prawdziwości.

Juljan wypatrzył się na przyjaciela.

— Chyba żartujesz! — zauważył. — Czudka nie lubię, wiem, że jest to człowiek małoduszny, niewdzięczny, nawet nikczemny, ale z tego jeszcze nie wypływa, bym go uważał za zbrodniarza. Zresztą prócz Czudka byli tam i inni.

Storch gorzko się uśmiechnął.

— Zbyt jesteś sam uczciwym mój Juljanie — odpowiedział — więc nie przypuszczasz, by ludzie aż do takich zbrodni byli zdolni. Ja niestety, na świat przez ciemniejsze patrzę okulary, i o ile mi się zdaje, Czudek i Ragner to dwaj bracia Siamscy.

— A gdyby tak było? — Juljan zapytał.

— W takim razie należałoby podać w wątpliwość autentyczność testamentu i panom spadkobiercom sądowy pozew wytoczyć. Zdaje mi się mój Julianie, że tego domaga się od ciebie nawet twój honor. Gdybyś tego nie uczynił, cały świat uważał by cię za mazgaja, nie zdolnego do kroków stanowczych, lub za lekkomyślnika, który pozwolił sobie zabrać majątek. Zresztą racz i to rozważyć, że i moralność żąda zadośćuczynienia. Na czem bo się skończy, jeżeli rozboje w tym rodzaju będą wydarzały się w biały dzień i bezkarnie potem uchodziły. Jeszcze raz powtarzam ci Juljanie, honor i sumienie domagają się od ciebie, byś opieszale rąk nie zakładał.

Młody człowiek wysłuchał przyjaciela z całą uwagą.

— Kto wie czy nie masz słuszności — rzekł po namyśle. — Nie potrzebuję ci powtarzać, że o majątek mi nie idzie, ale jeżeli oni w rzeczy samej dopuścili się zbrodni i testament sfałszowali, to doprawdy był by to grzech o pomstę wołający, gdyby im to uszło bezkarnie. Z drugiej atoli strony należy rozważyć, że prosty zarzut nie wystarczy... potrzebujemy dowodów, nareszcie choćby poszlak jakich, ale nic, nic, to za mało... Jeżeli im nie udowodnię, gotowi mi potem wytoczyć proces o oszczerstwo.

— Przecie ja ci nie radzę, byś tak lekkomyślnie postępował — odparł Storch. — Poszlaki mieć musimy, i o ile mi się zdaje, wkrótce je mieć będziemy. W tem moja głowa, już ja ci ich dostarczę. Ty zaś przeprowadź tymczasem najdokładniejsze śledztwo z Wojciechem; stary przywiązany do ciebie tak samo, jak do nieboszczyka swego pana, więc cokolwiek sobie przypomni, wszystko ci powie, a ja znowu nie przypuszczam, by nic nie pamiętał. Przecie całkiem jeszcze nie zbałwaniał! Niech mu się tylko język rozwiąże; ręczę, że między wspomnieniami znajdzie dla nas szczegóły bardzo cenne. Jeszcze rzecz jedna — Storch kończył — muszę udać się do jakiego adwokata znanego z prawości charakteru i z nim pomówię. Kto wie czy i on nie wprowadzi mnie na jaki ślad dobry.

Po tej rozmowie Juljan poszedł do narzeczonej i wszystko opowiedział. Tak pan Wybicki, jak i Wandzia, uznała radę Storcha za uczciwą i praktyczną. Dochodzenie praw swoich było obowiązkiem, to też wkrótce Juljan tak się tą myślą przejął, że postanowił póty jej nie porzucić, póki będzie mu przyświecał choćby najsłabszy promyk nadziei.

Dopiero od dwóch dni Storch i Juljan zajmowali się gorliwiej sprawą testamentu, ukrywając to w głębokiej tajemnicy, a spadkobiercy pana Czarkowskiego już coś zwietrzyli, bo oto jaka w mieszkaniu adwokata trzeciego dnia wieczorem toczyła się rozmowa:

— Powtarzam ci, że się coś święci — rzekł dr. Ragner, puszczając dym z cygara.

— A ja ci powtarzam, że strachy na Lachy! — odparł Czudek z uśmiechem dobrodusznym.

— Wierz, nie wierz, a ja ci mówię, że oni nie spią.

— Przekonaj się teraz — adwokat odpowiedział — czyś mi słusznie tchórzostwo zarzucał... Kto się dziś boi, ja, czy ty? A wierz mi, większej trzeba odwagi aby następstwa złego przyjąć na siebie, niż złe popełnić.

— Być może! — mruknął lekarz. — Wszakże nim dalej zacznę mówić, muszę wpierw sprostować twoje powiedzenie. Najbardziej zastrzegam się przeciw twierdzeniu, jakoby to było złe, cośmy uczynili. Najpierw nie jest to złe dla nas, bośmy na tem wcale dobrze wyszli, ani dla nieboszczyka, bo jemu wszystko jedno, kto dziś jego majątek posiada, ani dla społeczeństwa, które przecie żąda, by się rozdrabniały większe kapitały, bo tylko tym sposobem może przyjść ogół do równowagi finansowej. Społeczeństwo woli, że majątek nieznośnego dziwaka został między nas dwóch podzielony, aniżeli żeby się był dostał tylko jednemu Rossowskiemu.

Rzekłszy to Ragner udał, że się śmieje, Czudek zaś udawał, że mu wtoruje. Jednakże w ich głosach nie trudno było poznać, że na śmiech szczery wcale im się nie zbierało.

— Wracając do tego, od czego zacząłem — doktor dalej mówił — muszę twoją uwagę zwrócić głównie na Storcha... o ile wiem jest to głowa sprytna. Ten jeden mógł by nam figla wypłatać, bo co do Rossowskiego, to ludzi jak on sercowych i patrzących na obowiązki honoru przez pryzmat szkieł średniowiecznych, nigdy się lękać nie potrzeba.

— Jabym sądził — przerwał adwokat — że Storcha także bać się nie potrzebujemy. Przecie on nic nie wie.

— Prawda ale ja się boję, by się nie dowiedział... Na tym świecie nie można być dosyć ostrożnym. Czasem jedno słówko wszystko zdradzi... A nie sądź także, bym Storcha podejrzywał bez podstawy. Przedwczoraj był z Rossowskim w sądzie, badali razem testament, w jakim celu? Wczoraj spotkałem go znowu w tej samej kamienicy, w której mieszka prezes Izby adwokatów. Ręczę, że był u niego...

— Adwokat przeciw adwokatowi nie wystąpi.

— Zdaje mi się, że się mylisz. Wasz prezes ma ponoś inne przekonania, jak dr. Mateusz Czudek, i oto, co mnie najbardziej niepokoi. Jeżeli prezes weźmie ich w obronę, gotowi po nitce dojść do kłębka.

Czudek głęboko się zamyślił. Uwagi przyjaciela nie robiły na nim zbyt miłego wrażenia. Po chwili zapytał:

— Jakże skończyłeś z Wojciechem?

— Dałem mu pięćset guldenów.

— Nie więcej?

— Nie... a na cóż by więcej?

— Trzeba mu jeszcze co dodać — Czudek zauważył, — aby go tem zjednać i mieć po naszej stronie. Mieszkanie w willi trzeba mu także zostawić do końca życia.

— Oho! jaki wspaniałomyślny! — Ragner przerwał.

— To nie wspaniałomyślność mój kochany, to przezorność. Strzeżonego pan Bóg strzeże. Jeżeli kto, to jeden Wojciech mógł by coś wyspiewać... Jeśli by naprzykład powiedział i za-

przysiągł przed sądem, żeś go wysłał do apteki, a myśmy tymczasem testament spisali, kto wie czy by nam to wyszło na zdrowie.

— I ty myślisz, że Rossowski o tem się nie dowie?

— Niech się dowie, byle Wojciech sam pierwszego kroku nie uczynił. Rossowskiego trzeba się pozbyć i zrobić go na zawsze nieszkodliwym.

Lekarz oczy wytrzeszczył.

— Czy go chcesz otruć? — zapytał.

— Ani mi w głowie!

— Więc może zasztyletować?

— I o tem nie myślę! Mam ja na niego inne sposoby, które go z pewnością ubezwładnią. Przekonasz się, czy Czudek miał rozum. Zaraz jutro rozpocznę kampanję i nazwiesz mnie błaznem, jeżeli z niej nie wyjdę zwycięsko.

— Bardzo mi będzie miło usłyszeć. żeś zwyciężył i pewnie nie wątpisz, że ci życzę powodzenia. Wszak tu idzie o wspólną naszą skórę. O ile to będzie w mojej mocy, nie tylko ja sam, ale i przez Villaniego, który otrzymawszy pięćdziesiąt guldenów nie posiadał się z radości, będę śledził obudwu panów, szczególnie Storcha i cokolwiek wybadam, zaraz ci doniosę. Tyś adwokat, więc teraz twoja głowa pracować powinna. Jam swoje zrobił.

— Prawda żeś zrobił! — Czudek sobie pomyślał — boś z pod poduszki zabrał najmniej połowę gotówki.. Ale ci to nie wyjdzie na pożytek, moja krzywda stanie ci jeszcze kością w gardle. Potem rzekł głośno: — Salamońciu bądź spokojny! Przekonasz się, że nie od parady noszę głowę na karku.

XXII.

Jak wiadomo, Juljan od przyjazdu swego do Lwowa mieszkał w domu pana Czarkowskiego. Po jego śmierci chciał się natychmiast wyprowadzić i jeżeli zwłoka nastąpiła, to dla tego, że mając wkrótce Wandzię poślubić, potrzebował znaleźć sobie w mieście mieszkanie obszerniejsze i stosownie je urządzić. Mieszkanie prędko się znalazło, z umeblowaniem szło trudniej. Juljan nie miał kapitałów, oszustwo ajenta wiedeńskiego przyprawiło go o wielkie straty, dochód ze sklepu nie był taki, iżby z niego można było pokrywać wydatki nadzwyczajne, a ze śmiercią wuja kredyt prawie zupełnie stracił. Położenie młodego człowieka tak było przykre, że rad nie rad musiał, jak niegdyś we Wiedniu, zgłosić się teraz we Lwowie do lichwiarzy żydowskich. Wprawdzie mu pożyczyli, lecz na procent tak wygórowany, że ruina jego zupełna musiała by być pewną, jeżliby długu nie był wstanie rychło zaspokoić.

Nazajutrz po jego powrocie z Wiednia, zjawił się dr. Ragner, a ubolewając, że wuj zapomniał o swoim siostrzeńcu, rzekł, że tak on jak i jego przyjaciel, dr. Czudek, pragnąc choć w części zmniejszyć krzywdę wyrządzoną temu, który mógł się słusznie uważać za jedynego spadkobiercę nieboszczyka, postanowili odstąpić mu bezpłatnie mieszkanie dotąd zajmowane, a nawet, gdyby pan Rossowski chciał się żenić, gotowi by mu jeszcze dodać dwa pokoje i kuchenkę. Jaki cel szanowny doktor chciał przez to osiągnąć, nie trudno odgadnąć. Oto zdawało mu się, że tym sposobem najłatwiej przejedna młodego człowieka, tak, iż ten bez szemrania pogodzi się ze swoim losem. Prócz tego tak Ragnerowi jak Czudkowi zależało wiele na opinji publicznej.

Człowiek prawdziwie czysty i zacny, wiedząc, jak niesprawiedliwą bywa opinja, często rzuca jej rękawicę i uwagi na nią nie zwraca; przeciwnie ludzie przewrotni i samolubni, starają się wszelkiemi sposoby, by świat jak najlepiej o nich mówił. Pochodzi to ztąd, że ludzie szlachetni, mając nagrodę w spokoju i zadowoleniu własnego sumienia, nie żądają od świata ani pobłażania, ani nagrody; natomiast źli, tylko wtedy mogą samolubnie dążyć do swego celu, jeżeli świat przez nich oszukany dobrze o nich mówi Gdyby niekorzystny zaczął sąd wydawać, gdyby im brakło opinji, cała ich budowa runąć by musiała. Dopiero śmierć ludziom oczy otwiera. Wtedy zacnemu stawiają posągi, a przewrotnego potępiają. Lecz co było za ich życia? Czy posąg po śmierci jest dostateczną nagrodą dla tego, kto długie lata znosił niesprawiedliwość — a potępienie gołosłowne, boć umarłego tylko takie spotkać może, czyż jest karą dostateczną dla takiego, który mimo iż niegodziwie postępował, był całe życie szanowany, kochany, wielbiony? Pod osłoną natomiast opinji powszechnej można łatwo rozbijać.

Dla przebłagania więc opinji powszechnej i aby mógł powiedzieć: patrzcie, z Rossowskim postąpiliśmy sobie szlachetnie, bo jakkolwiek nic mu się nie należy, daliśmy mu mieszkanie w naszym domu! — przyszedł Ragner z taką propozycją do Juljana, ale młody człowiek ku wielkiemu zdziwieniu żyda, nie tylko jej nie przyjął, lecz w dodatku powiedział:

— Chociaż w sądzie dowiedziałem się, że mi wolno tu mieszkać do końca kwartału, nie uczynię tego, aby panom nie zawadzać. Jak skoro znajdę sobie mieszkanie, a mam nadzieję, że nastąpi to najdalej pojutrze, zaraz się wyprowadzę. Wojciecha także z sobą zabiorę.

Ragner odszedł nie bardzo zadowolony.

Drugiego dnia po rozmowie adwokata z lekarzem, którą powtórzyliśmy dosłownie w rozdziale poprzedzającym, Juljan, przy pomocy Wojciecha, składał swoje rzeczy, za dni bowiem kilka miał się już wyprowadzić do nowego pomieszkania, gdy przy drzwiach silnie ktoś zadzwonił.

Wojciech prędko wyszedł, ale mimo lat podeszłych, jeszcze prędzej wrócił z przedpokoju. Twarz miał czerwoną i rozgniewaną.

— Proszę panicza, tam jest adwokat z jakimś drugim panem.

— Czudek?

— On proszę panicza.

— Czego żąda?

— Nie wiem, proszę panicza... Ten drugi pan, co z nim przyszedł, pyta, czy mogą się widzieć z paniczem.

Juljan zamyślił się chwilę.

— Trudna rada — rzekł — wszak to dom jego... może dowiedziawszy się, że się już wyprowadzam, chce jakiemu znajomemu mieszkanie moje odnająć. Idź, proś ich!

— Jabym myślał — Wojciech zauważył, — żeby panicz nie przyjmował tego adwokata. To człowiek zły bardzo... mnie się zdaje, że on nie ma Boga w sercu.

— Choćby był najgorszy mój Wojciechu, nic mi nie zrobi... przecie dzieckiem nie jestem.

— Jeżeli panicz chce koniecznie, to pójdę, ale niech mi panicz przynajmniej pozwoli, bym i ja tu był, jak on będzie

— Dobrze, dobrze! tylko idź Wojciechu, bo przecie nie wypada trzymać tak długo w przedpokoju, choćby nawet swego nieprzyjaciela.

Wojciech wyszedł; po chwili zjawił się Czudek ze swoim dependentem, panem Franciszkiem, który był jego prawą ręką.

Adwokat wszedłszy z uśmiechem, robił minę, jakby chciał gospodarzowi dłoń uścisnąć i zaczął przemówienie od „kochany Juljanie“ — widząc jednak, że dawny kolega i przyjaciel mierzy go bardzo zimnem okiem i ruchem ręki prosi, by usiadł, uznał za stosowne zmienić ton poufały, na więcej ceremonialny.

— Przepraszam najmocniej szanownego pana — przemówił siadając na kanapie — że przychodzę w interesie nie bardzo miłym, ale jakem poczciw, jam nie winien! Gdyby nie Ragner, słowo honoru ani bym o tem pisnął... ale on mnie ciśnie, męczy, rad więc nie rad muszę...

— Zechciej pan zatem powiedzieć, jaki to interes — odrzekł Juljan spokojnie.

Adwokat wyjął z kieszeni skrypt i pokazał go gospodarzowi.

— Pan dobrodziej zapewne sobie przypomina ten skrypcik na 5.000 guldenów, wystawiony ś. p. panu Czarkowskiemu? Termin dawno upłynął, a i procencików musi być trochę zaległych.

Juljanowi w oczach pociemniało. W chaosie, w jakim się znajdował, całkiem zapomniał, że ongi sklep otwierając, pożyczył był od wuja 5.000 guldenów, od których miał mu płacić odsetki. Teraz ten skrypt leżał przed nim jak wyrok śmierci. Jeżeli zechce dług uiścić, będzie musiał wszystko sprzedać, a gdy z wszystkiego się wyzuje, czyż sumienie pozwoli mu Wandzię poślubić? Nie mając ani majątku, ani nadziei, by mu się rychło polepszyło, czyż mógł do swojej łodzi, miotanej na wsze strony falą niepowodzenia, brać tę, którą nad życie ukochał i skazywać ją może na nędzę? Czyż honor na to pozwalał? Przykre te myśli szybko jak błyskawica przez głowę mu przeleciały, wypijając wszystką krew z jego twarzy.

Czudek domyślil się, jaką on z sobą walkę stacza.

— Jakem poczciw! — słodko przemówił, — jabym się o ten dług nigdy nie upominał, ale pan Franciszek poświadczy — (tu wskazał na swego towarzysza, który na znak potwierdzenia głową skinął) — że Ragner tego żąda. Jakem poczciw, to on!

— Nie wątpię — Juljan odpowiedział, gorzko się uśmiechając. — Zresztą, to rzeczy nie zmienia... ktokolwiek się upomina, oddać trzeba... Mogę też pana upewnić, że do kilku dni zapłacę.

Adwokat wzruszył ramionami.

— Bardzo to pięknie — rzekł, — że pan dobrodziej nie zaprzecza i chce oddać, ale wątpię czy się uda. W czasach teraźniejszych nie łatwo znaleźć pięć tysięcy... wszak to majątek!

— Choćbym miał wszystko sprzedać, oddam! — odparł gospodarz z naciskiem.

— Pan dobrodziej niepotrzebnie się unosi — Czudek słodko przemówił. — Ja wiem, że pan nie chcesz darowizny, ani naszej krzywdy, ale na co się rujnować, kiedy nie ma konieczności. Chcąc swój magazyn wyprzedać, musiał byś pan oddać go za pół darmo, a my tego nie żądamy. Jakem poczciw, mybyśmy chcieli nawet panu dobrodziejowi pomódz, gdyby to jeno było w naszej mocy.

— Bardzoś łaskaw mecenasie.

— Ale że też pan dobrodziej nie wierzy w ludzi uczciwych! Świadczę się panen Franciszkiem, (młody człowiek znowu głową skinął) że mało sto razy mówiliśmy z nim o tym interesie. Pan dobrodziej ma do mnie urazę, chociaż ja nie mam, jakem poczciw nie mam! Co było, dawno zapomniałem, ale żal pański niesłuszny. Być może, że nosiłem się z pewnemi zamiarami co do panny Wybickiej, wszakże Bogiem się świadczę i panem Franciszkiem (młodzieniec znowu się kłania), który zna nie tylko wszystkie moje interesa, lecz nawet moje myśli, że ani przypuszczałem, by pan dobrodziej starał się także o jej rękę.

— Mój panie! — przerwał gospodarz — mieliśmy mówić o interesie, tymczasem schodzimy na przedmiot, który radbym wykluczyć z naszej rozmowy.

— Przepraszam pana dobrodzieja... to tylko małe zboczenie... wracam do rzeczy. Otóż muszę

wyznać, że bardzo mnie to bolało i boli, iż pan mnie tak niesłusznie potępiałeś. Jakem poczciw, mnie to krzywdzi, bo przecie nie zapomniałem, żeśmy z sobą kolegowali, żeśmy się kochali, a takie wspomnienia nie powinny się zacierać... przynajmniej co do mnie, mam je głęboko w sercu wyryte.

Czudek mówił tak głosem łagodnym, słodkim, tak łzami przesiąkłym, że Juljan mięknąć zaczął. Człowieka jak on uczuciowego najpewniej można złapać na uczucie. Adwokat, widząc jakie wrażenie robią jego słowa, mówił dalej:

— My nie chcemy rujnować pana dobrodzieja, a choćby nawet Ragner pragnął coś podobnego uczynić, ja się temu sprzeciwię.

— Dziękuję za dobre chęci — Juljan odpowiedział — ale ofiary pańskiej nie przyjmę.

— To nie ofiara panie dobrodzieju, jakem poczciw, to obowiązek! Nie zapominajmy, że kraj nasz biedny, i że dla tego powinniśmy siłą, mocą tych wspierać, którzy rozwijają przemysł i handel, bo w czasach teraźniejszych, tylko na tej drodze możemy przyjść do dobrobytu. O! tak panie dobrodzieju, wspierać mężów jak pan, to obowiązek sumienia, to czyn patrjotyczny!

— Daruj mecenasie, że nareszcie zapytam, z czem przychodzisz, czego odemnie żądasz?

— Zaraz powiem. Pan dobrodziej zrozumie, że my pięciu tysięcy stracić nie możemy, zresztą, ani pan byś tego od nas nie żądał, ani mybyśmy nie mogli coś podobnego zaproponować panu dobrodziejowi, którego całe miasto zna ze szlachetnego sposobu myślenia. Gdy jednak zniszczyć pana także nie chcemy, więc radbym wskazać drogę pośrednią, krótką a uczciwą, tak by i wilk był syty i owca cała.

— Słucham! — przerwał Juljan.

— Pan dobrodziej da nam zabezpieczenie, my zaś zobowiążemy się, że rok, dwa, nawet trzy będziemy na pieniądze spokojnie czekali.

— A jakiegoż to zabezpieczenia żądasz mecenasie? Wiesz, że dóbr nie mam, chyba na księżycu — zauważył gospodarz z uśmiechem.

— O! my nie żądamy innego zabezpieczenia — adwokat pospieszył oświadczyć — krom tego, jakie sam pan dobrodziej możesz nam ofiarować. Oto sądownie zagrabimy pański magazyn i ruchomości, poczem zobowiążemy się pisemnie, że kapitał zostawiamy panu na dalsze trzy lata. W tym czasie da Bóg wyjdziesz pan z interesów i nas zapłacisz. Tak więc będzie i wilk syty i owca cała.

Juljan nie mógł Czudka zrozumieć. Wiedział, że nie jest on dobrym człowiekiem, a tymczasem robił mu propozycję na oko przynajmniej bardzo uczciwą, która mu dawała możność wybrnięcia z finansowych kłopotów. Kto wie — myślał sobie w duchu — czy i w nim nie obudziły się instynkta szlachetniejsze. Może sobie w rzeczy samej przypomniał, ile mu niegdyś świadczyłem i teraz chce mi pomódz. Przecie nie ma człowieka tak złego, żeby w nim czasem nie drgnęła choć jedna struna ludzka. Tak rozważywszy, rzekł:

— Propozycję pańską uważam dla siebie za korzystną, a ponieważ nie zwykłem zaprzeczać, jeżelim komu co winien, więc i zabezpieczenie dam panom chętnie. Wolałbym wprawdzie zwrócić panom natychmiast całą należytość, ale chcąc to uczynić, musiałbym sprzedać cały mój magazyn, a wtedy skrzywdziłbym innych wierzycieli, czego żadną miarą dopuścić nie mogę.

— Jeżeli tak — zawołał adwokat radośnie z kanapy się podnosząc — to między nami rzecz skończona.

— Nie całkiem... zanim mecenasowi dam odpowiedź stanowczą, muszę wpierw porozumieć się z moim przyjacielem.

— Bardzo dobrze! niech się pan dobrodziej porozumie... ale w każdym razie prosiłbym o odpowiedź dziś przed wieczorem.

Gdy się rozstali, Czudek wracał do siebie z najwyższem zadowoleniem, a Juljan udał się natychmiast do Storcha. Ten usłyszawszy propozycję adwokata, zachmurzył czoło i długo myślał. Potem poszedł do kasy, wziął księgi kupieckie i liczył coś przeszło pół godziny. Gdy skończył, tak przemówił:

— Ponieważ Czudka uważam za człowieka skończenie przewrotnego i zawsze go podejrzywam, więc nie doradzałbym ci tego układu, gdybym wiedział, że innym sposobem z kłopotów wybrniemy. Ale niestety ja nie widzę tego sposobu. Jeżeli by dziś wystawili magazyn na sprzedaż przymusową, wątpię czy dostalibyśmy za niego więcej jak trzy lub cztery tysiące, tymczasem według inwentarza, który właśnie zrobiłem, włożyłeś w niego przeszło dwanaście tysięcy! W dodatku takie zniszczenie zupełne uniemożliwiło by ci małżeństwo, które dziś więcej niż cokolwiek innego zajmuje twoje serce, nareszcie skrzywdziłoby innych wierzycieli. Stoimy zatem między dwiema ostatecznościami: albo ogłosić zaraz upadłość i wtedy pożegnać się przynajmniej na czas dłuższy ze wszelkiemi nadziejami, lub też przyjąć Czudka propozycję. Od ciebie wybór zawisł.

— A co byś ty wybrać radził? — Juljan zapytał.

— Nie wiem... może upadłość.

— Czemu?

— Bo wolałbym od razu skończyć, niż być ciągle na łasce takiego łotra.

— Kto wie jednak, mój drogi, czy i w nim nie obudziło się sumienie. Przecie tyle mi zawdzięcza.

— A ja ci powtarzam, przypomnij sobie bajkę o żmiji i wieśniaku.

Juljan myślał jeszcze do wieczora. Swojej osoby nie miał już na względzie, lecz w razie gdyby propozycję Czudka odrzucił, pytał się z jakich funduszów innych wierzycieli zaspokoi. To najbardziej na sercu mu ciężyło, człowiek bowiem jak on szlachetny nie mógł nikogo skrzywdzić. Gdy się więc przekonał, że jedynie na tej drodze może powoli wszystkich zaspokoić, napisał do adwokata, że przyjmuje jego propozycję.

Czudek przeczytawszy bilet aż z radości w dłonie klasnął. On tylko tego pragnął.

(C. d. n.)

Z KSIĘGI PIEŚNI HEINE'GO.

PYTANIA.

I.

Nad brzegiem morza, w skał zimnych cieniu
Młodzian oblicze przysłania,
Z piersią wezbraną, z myślą w zwątpieniu,
Zadaje falom pytania:

Pieniste fale! Wy dzieci morza,
Ulżyjcie duszy mej męce,
Wyrwijcie myśl mą z zwątpień bezdroża
I zbudźcie mary dziecięce.

Dajcie odpowiedź pytaniom moim,
Starym jak wieczność bez końca,
W które swe myśli rozpaczne zbroim,
By wzlecieć do prawdy słońca.

Czemżeż jest człowiek? Czem jego życie?
Zkąd przyszedł na świat? Gdzie dąży?
Kto ma mieszkanie w nieba błękicie?
Dla czego wszechświat tak krąży?

I szumią fale i wicher wieje
I zastęp chmur w dal ucieka,
Śmieją się gwiazdy — księżyc się śmieje,
A głupiec czeka i czeka.

II.

Czemu dziś róże tak blade?
Ach! powiedz luba dla czego?
Czemu fiołki tak smutne?
Tak wolno chwile mi biegą?

Czemu skowronek w krzewinie
Tak nuci piosnki żałośnie?
Czy już zapomniał swych pieśni,
Które tak nucił o wiośnie?

Czemu dziś słońce tak zimne
Wciąż w czarną kryje się chmurę?
Czemu dziś ziemia tak głucha?
Drzewa jak cmentarz ponure?

Czemum ja sam tak zbolały?
Ach! powiedz, powiedz o miła!
Powiedz najdroższa dlaczego,
Dlaczego żeś mnie rzuciła?

JANKO MUZYKANT.

Przyszło to na świat wątłe, słabe. Kumy, co się były zebrały przy tapczanie położnicy, kręciły głowami i nad matką i nad dzieckiem. Kowalka Szymonowa, która była najmądrzejsza, poczęła chorą pocieszać:

— Dajta — powiada — to zapalę nad wami gromnicę; już z was nic nie będzie, moja kumo, już wam na tamten świat się wybierać i po dobrodzieja by posłać, żeby wam grzechy wasze odpuścił.

— Ba! — powiada druga — a chłopaka to zara trza ochrzcić; on i dobrodzieja nie doczeka, a — powiada — błogo będzie, co choć i strzygą się nie ostanie.

Tak mówiąc, zapaliła gromnicę, a potem wziąwszy dziecko, pokropiła je wodą aż poczęło oczki mrużyć i rzekła jeszcze:

— Ja ciebie krzcę w imię Ojca i Syna i Ducha świętego — i daję ci na przezwisko Jan, a teraz-że duszo krześcijańska idź, zkądeś przyszła. Amen!

Ale dusza chrześcijańska nie miała wcale ochoty iść, zkąd przyszła i opuszczać chuderlawego ciała, owszem poczęła wierzgać nogami tego ciała, jako mogła, i płakać, chociaż tak słabo i żałośnie, że jak mówiły kumy: „Myślałby kto: kocię nie kocię, albo co!“

Posłano po księdza; przyjechał, zrobił swoje, odjechał — chorej zrobiło się lepiej. W tydzień wyszła baba do roboty. Chłopak ledwo „zipał“, ale „zipał“, aż w czwartym roku okukała kukułka na wiosnę chorobę, więc się poprawił i w jakiem takiem zdrowiu doszedł do dziesiątego roku życia.

Chudy był zawsze i opalony, z brzuchem wydętym, a zapadłemi policzkami; czuprynę miał konopną, białą prawie i spadającą na jasne, wytrzeszczone oczy, patrzące na świat, jakby w jakąś niezmierną dalekość wpatrzone... W zimie siadywał za piecem i popłakiwał cicho z zimna, a czasem i z głodu, gdy matula nie mieli co włożyć ani do pieca ani do garnka; latem chodził w koszulinie przepasanej krajką i w słomianym *kapalusie*, z pod którego obdartej kani spoglądał, zadzierając jak ptak głowę do góry. Matka, biedna komornica, żyjąca z dnia na dzień niby jaskółka pod cudzą strzechą, może go tam i kochała po swojemu, ale biła dość często i zwykle nazywała: „odmieńcem.“ W ósmym roku chodził już jako potrzódka za bydłem, lub gdy w chałupie nie było co jeść, za bedłkami do boru. Że go tam kiedy wilk nie zjadł — zmiłowanie boże.

Był to chłopak nierozgarnięty bardzo i jak wiejskie dzieciaki, przy rozmowie z ludźmi palec do gęby wkładający. Nie obiecywali sobie nawet ludzie, że się wychowa, a jeszcze mniej, żeby matka mogła doczekać się z niego pociechy, bo i do roboty był ladaco. Nie wiadomo, zkąd się to takie uplęgło, ale na jedną rzecz był tylko łapczywy, to jest na granie. Wszędzie też je słyszał, a jak tylko trochę podrósł, tak już o niczem innem nie myślał. Pójdzie bywało do boru za bydłem, albo z dwojakami na jagody, to się wróci bez jagód i mówi szepleniąc:

— Matlu! tak ci coś w boru g r l a ł o! Oj! oj!

A matka na to:

— Zagram ci ja zagram! nie bój się!

Jakoż czasem sprawiała mu warząchwią muzykę. Chłopak krzyczał, obiecywał, że już nie będzie, a tak-i myślał, że tam coś w boru grało... Co? albo on wiedział?... Sosny, buki, brzezina, wilgi — wszystko grało — cały bór i basta!...

Echo też... W polu grała mu bylica, w sadku pod chałupą ćwirkotały wróble, aż się wiśnie trzęsły. Wieczorami słuchiwał wszystkich głosów, jakie są na wsi, i pewno myślał sobie, że cała wieś gra. Jak posłali go do roboty, żeby gnój rozrzucał — to mu nawet wiatr grał w widłach.

Zobaczył go tak raz karbowy stojącego z rozrzuconą czupryną i słuchającego wiatru w drewnianych widłach... zobaczył — i odpasawszy rzemyka, dał mu dobrą pamiątkę. Ale na co się to zdało! Nazywali go ludzie: „Janko muzykant!...“ Wiosną uciekał z domu kręcić fujarki wedle strugi. Nocami, gdy żaby zaczynały rzechotać, derkacze na łąkach derkotać, bąki po rosie buczyć, gdy koguty piały po zapłociach, to on spać nie mógł, tylko słuchał i Bóg go jeden wie, jakie on i w tem nawet słyszał granie... Do kościoła matka nie mogła go brać, bo jak bywało zahuczą organy, lub zaspiewają słodkim głosem, to dziecku oczy tak mgłą zachodzą, jakby już nie z tego świata patrzyły...

Stójka co chodził nocą po wsi, i aby nie zasnąć, liczył gwiazdy na niebie, lub rozmawiał po cichu z psami, widział nieraz białą koszulę Janka, przemykającą się w ciemności ku karczmie. Ale przecież chłopak nie do karczmy chodził tylko pod karczmę. Tam przyczaiwszy się pod murem słuchał. Ludzie tańcowali obertasa, czasem jaki parobek pokrzykiwał: U-ha!! słychać było tupanie butów, to znów głosy dziewczyn: Czegóż? Skrzypki spiewały cicho: „Będziem jedli, będziem pili, będziewa się weselili“, a basetla grubym głosem wtórowała z powagą: „Jak Bóg dał! Jak Bóg dał!“ Okna jarzyły się światłem, a każda belka w karczmie zdawała się drgać, spiewać i grać także, a Janko słuchał...

Coby on za to dał, gdyby mógł mieć takie skrzypki grające cienko: „Będziem jedli, będziem pili, będziewa się weselili!“ Takie deszczułki spiewające. Ba! ale zkąd ich dostać, gdzie takie robią? Żeby mu przynajmniej pozwolili choć raz w rękę wziąć coś takiego!... Gdzietam! Wolno mu tylko było słuchać, to też i słuchał zwykle dopóty, dopóki głos stójki nie ozwał się za nim z ciemności.

— Nie pójdziesz-że ty do domu utrapieńcze?

Więc wówczas zmykał na swoich bosych nogach do domu, a za nim biegł w ciemnościach głos skrzypiec: „Będziem jedli, będziem pili, będziewa się weselili!“ — i poważny głos basetli:

— Jak Bóg dał! Jak Bóg dał! Jak Bóg dał!

Gdy tylko mógł słyszyć skrzypki, czy to na dożynkach, czy na weselu jakiem, to już dla niego było wielkie święto. Właził potem za piec i nic nie mówił po całych dniach, spoglądając jak kot błyszczącemi oczyma z ciemności. Potem zrobił sobie sam skrzypki z gąta i z włosienia końskiego, ale nie chciały grać tak pięknie jak tamte w karczmie. Brzęczały cicho, bardzo cichutko, właśnie jak muszki jakie, albo komary. Grał jednak na nich od rana do wieczora, choć tyle za to odbierał szturchańców, że w końcu wyglądał jak obite jabłko niedojrzałe. Ale taka to już była jego natura. Dzieciaczyna chudł coraz bardziej, brzuch tylko zawsze miał duży, czuprynę coraz gęstszą i oczy coraz szerzej otwarte, choć najczęściej łzami zalane — ale policzki i piersi wpadały mu coraz głębiej i głębiej...

Wcale nie był jak inne dzieci — był raczej jak jego skrzypki z gąta, które zaledwie brzęczały. Na przednowku przytem przymierał głodem, bo żył najczęściej surową marchwią i także chęcią posiadania skrzypek.

Ale ta chęć nie wyszła mu na dobre.

We dworze miał skrzypce lokaj i grywał czasem na nich szarą godziną, aby się podobać pannie służącej. Janko czasem podczołgiwał się między łopuchami, aż pod otwarte drzwi kredensu, żeby im się przypatrzeć. Wisiały właśnie na ścianie naprzeciw drzwi, więc tam chłopak duszę swoją całą wysyłał ku nim przez oczy, bo mu się zdawało, że to niedostępna jakaś dla niego świętość, której niegodzien tknąć, że to jakieś jego najdroższe ukochanie. A jednak pożądał ich. Chciałby przynajmniej raz mieć je w ręku, przynajmniej przypatrzeć się im bliżej... Biedne, małe, chłopskie serce drżało na tę myśl ze szczęścia...

Pewnej nocy nikogo nie było w kredensie. Państwo od dawna siedzieli za granicą, dom stał pustkami, więc lokaj przesiadywał na drugiej stronie u panny pokojowej. Janko, przyczajony w łopuchach, patrzył już oddawna przez otwarte szeroko drzwi, na cel wszystkich swych pożądań. Księżyc właśnie na niebie był pełny i wschodził ukośnie przez okno do kredensu, odbijając je w kształcie wielkiego, jasnego kwadratu na przeciwległej ścianie. Ale ten kwadrat zbliżał się powoli do skrzypiec, i w końcu oświetlił je zupełnie. Wówczas w ciemnej głębi wydawało się, jakoby od nich biła światłość srebrna; szczególniej wypukłe zgięcia oświecone były tak mocno, że Janek ledwie mógł patrzeć na nie. W onym blasku widać było wszystko doskonale: wcięte boki, struny i zagiętą rączkę. Kołeczki przy niej świeciły jak robaczki świętojańskie, a wzdłuż zwieszał się smyczek nakształt srebrnego pręta...

Ach! wszystko było śliczne i prawie czarodziejskie. — Janek też patrzył coraz chciwiej. Przykucznięty w łopuchach, z łokciami opartemi o chude kolana, z otwartemi ustami patrzył i patrzył. To strach zatrzymywał go na

miejscu, to jakaś nieprzezwyciężona chęć pchała go naprzód. Czy czary jakie, czy co?... Ale te skrzypce w jasności czasem zdawały się przybliżać, jakoby płynąc ku dziecku... Chwilami przygasały, aby znowu rozpromienić się jeszcze bardziej. Czary, wyraźnie czary! Tymczasem wiatr powiał, zaszumiały cicho drzewa, załopotały łopuchy a Janek jakoby wyraźnie usłyszał:

— Idź Janku! w kredensie nie ma nikogo... idź Janku!...

Noc była widna, jasna. W ogrodzie dworskim nad stawem słowik zaczął śpiewać i pogwizdywał cicho to głośniej: Idź! pójdź! weź!... Lelek poczciwy cichym lotem zakręcił się koło głowy dziecka i zawołał: Janku nie! nie!... Ale lelek odleciał, a słowik został i łopuchy coraz wyraźniej mruczały: Tam nie ma nikogo!... Skrzypce rozpromieniły się znowu...

Biedny, mały, skulony kształt, zwolna i ostrożnie posunął się naprzód, a tymczasem słowik cichuteńko pogwizdywał: Idź! pójdź! weź!...

Biała koszula migotała coraz bliżej drzwi kredensowych. Już nie okrywają jej czarne łopuchy. Na progu kredensowym słychać szybki oddech chorych piersi dziecka. Chwila jeszcze, biała koszulka znika — już tylko jedna bosa nóżka wystaje za progiem. Napróżno lelku przelatujesz jeszcze raz i wołasz: nie! nie!... Janek już w kredensie.

Zarzechotały zaraz ogromnie żaby w stawie ogrodowym, jak gdyby przestraszone, ale potem ucichły. Słowik przestał pogwizdywać, łopuchy szemrać. Tymczasem Janek czołgał się cicho i ostrożnie, ale zaraz go strach ogarnął. W łopuchach czuł się jakby u siebie, jak dzikie zwierzątko w zaroślach, a teraz był jak dzikie zwierzątko w pułapce. Ruchy jego stały się nagłe, oddech krótki i świszczący, przytem ogarnęła go ciemność. Cicha, letnia błyskawica, przeleciawszy między wschodem i zachodem, oświeciła raz jeszcze wnętrze kredensu, i Janka na czworakach przed skrzypcami, z głową zadartą do góry. Ale błyskawica zgasła, księżyc przesłoniła chmurka i nic już nie było widać ani słychać.

Po chwili dopiero z ciemności wyszedł dźwięk cichutki i płaczliwy, jakby ktoś nieostrożnie strun dotknął i nagle...

Gruby jakiś, zaspany głos, wychodzący z kąta kredensu, spytał gniewliwie:

— Kto tam?

Janek zataił dech w piersiach, ale gruby głos spytał powtórnie:

— Kto tam?

Zapałka zaczęła migotać po ścianie, zrobiło się widno, a potem... Eh! Boże! Słychać klątwy, uderzenia, płacz dziecka, wołanie: O dla Boga! szczekanie psów, bieganie świateł po szybach, hałas w całym dworze...

Na drugi dzień biedny Janek stał już przed sądem u wójta.

Mieliż go tam sądzić jako złodzieja?... Pewno. Popatrzyli na niego wójt i ławnicy, jak stał przed nimi z palcem w gębie, z wytrzeszczonemi, zalękłemi oczyma, mały, chudy, zamorusany, obity, niewiedzący gdzie jest i czego od niego chcą? Jakże tu sądzić taką biedę, co ma lat dziesięć i ledwo na nogach stoi? Do więzienia ją posłać — czy jak?... Trzebaż przytem mieć trochę miłosierdzia nad dziećmi. Niech go tam weźmie stójka, niech mu da rózgą, żeby na drugi raz nie kradł i cała rzecz. Bo pewno!

Zawołali Stacha, co był stójką:

— Weź go ta i daj mu na pamiątkę!

Stach kiwnął swoją głupowatą, zwierzęcą głową, wziął Janka pod pachę, jakby jakiego kociaka i wyniósł ku stodółce. Dziecko czy nie zrozumiało, o co chodzi, czy się zalękło, dość, że nie ozwało się ni słowem — patrzyło tylko, jakby patrzył ptak. Albo on wie, co z nim zrobią? Dopiero jak go Stach w stodole wziął garścią, rozciągnął na ziemi i podgiąwszy koszulinę machnął od ucha, dopieroż Janek krzyknął:

— Matulu! — i co go stójka rózgą, to on: — Matulu! matulu! — ale coraz ciszej, słabiej, aż za którymś razem ucichło dziecko i nie wołało już matuli...

Biedne, potrzaskane skrzypki!...

Ej głupi, zły Stachu! któż tak dzieci bije? Toż to małe i słabe i zawsze było ledwie żywe.

Przyszła matka, zabrała chłopaka, ale musiała go zanieść do domu... Na drugi dzień nie wstał Janek, a trzeciego wieczorem konał już sobie spokojnie na tapczanie pod zgrzebnym kilimkiem...

Jaskółki świegotały w czereśni, co rosła pod przyzbą; promień słońca wchodził przez szybę i oblewał jasnością złotą, rozczochraną główkę dziecka i twarz, w której nie zostało kropli krwi. Ów promień był niby gościńcem, po którym mała dusza chłopczyka miała odejść. Dobrze, że choć w chwilę śmierci odchodziła szeroką słoneczną drogą, bo za życia szła poprawdzie ciernistą. Tymczasem wychudłe piersi poruszały się jeszcze oddechem, a twarz dziecka była jakby zasłuchana w te odgłosy wiejskie, które wchodziły przez otwarte okno. Był to wieczór, więc dziewczęta wracające od siana, śpiewały: „Oj na zielonej na runi!“, a od strugi dochodziło granie fujarek. Janek wsłuchiwał się ostatni raz, jak wieś gra... Na kilimku przy nim leżały jego skrzypki z gąta.

Nagle twarz umierającego dziecka rozjaśniła się, a z bielejących warg wyszedł szept:

— Matulu?...

— Co synku? — ozwała się matka, którą dusiły łzy...

— Matulu! Pan Bóg mi da w niebie prawdziwe skrzypki!

— Da ci synku, da! — odrzekła matka, ale nie mogła dłużej mówić, bo nagle z jej twardej piersi buchnęła wzbierająca żałość, więc jęknąwszy tylko: — O Jezu! Jezu! — padła twarzą na skrzynię i zaczęła ryczeć, jakby straciła rozum, albo jak człowiek co widzi, że od śmierci nie wydrze swego kochania...

Jakoż nie wydarła go, bo gdy podniósłszy się znowu spojrzała na dziecko, oczy małego grajka były otwarte wprawdzie, ale nieruchome, twarz zaś poważna bardzo, mroczna i stężała. Promień słoneczny odszedł także...

Pokój ci Janku!

Nazajutrz powrócili państwo do dworu z Włoch wraz z panną i kawalerem co się o nią starał. Kawaler mówił:

— *Quel beau pays que l'Italie!*

— I co to za lud artystów. *On est heureux de chercher la bas des talents et de les protéger*... — dodała panna.

Nad Jankiem szumiały brzozy...

Henryk Sienkiewicz.

GNIEWNA ŁZA.

(Z Hoffmanna.)

Najuniżeniej zgięty, stał pewien człowiek w eleganckim gabiniecie Bankiera i skarżył mu się na swoją gorzką nędzę; jednak ani najgorętsze błagania, ani boleść widoczna, drgająca w słowach proszącego, nie wzbudziły najmniejszego współczucia w bogaczu; odepchnął bezwzględnie wręczone mu dowody niezasłużonego nieszczęścia i z lodowatą stanowczością odmówił wsparcia.

Już w czasie, gdy proszący z całym wyrazem wewnętrznej męczarni przemawiał, coraz żywiej przemawiał, wielka a cicha łza napłynęła mu do oka i teraz u rzęs zawisła drżąca.

Biedak dostał wreszcie zupełną odprawę i wywlókłszy się na zewnątrz, stanął niepocieszony na ulicy. Głębokie wzruszenie wewnętrzne drżało w rysach i ruchach jego; wciąż jeszcze mówił i żalił się cichutko, jakby pragnął tchu zaczerpnąć.

Łza powoli stoczyła się po policzku, zawisła w sędziwej brodzie i szeptała:

„Milczeć powinieneś był, gdy ból mnie wycisnął do twojego oka; milczeć powinieneś był wtedy, gdyż ja jako posłanka z głęboko ukrytego, świętego źródła, płynącego tajemnie w piersi każdego człowieka, wypowiadam i najwymowniej wyrazić umiem, co życie zewnętrzne sercu w głębi cichej piersi uczyniło. A zatem powinieneś był milczeć i czuć: że wyrazu rozkoszy lub cierpienia, radości lub bolu, gdy te uczucia dosięgły swojego szczytu – słowami nie udzielisz nikomu. Gdy wrażenia są w najwyższym stopniu falowania, mają tylko jedną mowę jedyną oznakę prawdziwości swojej, we mnie, lśniącej w oku, ja bowiem użyczam oku wymowy, potężniejszej od wszystkich słów wymowy, nakazującej Ci bezwarunkowo milczenie, gdyż każde z twoich słów, wyda się tylko skrzywieniem dla tych, co sami obłudnie używać mnie zdolni i ciebie podejrzywać o to będą.

„Ja sama tylko oznajmiam niekłamliwie światu, co człowiekowi rzeczywiście wzięto lub dano.

„Nie ja-ż sama tylko zdradzam w oku dziewczęcia miłość i cichej tęsknoty niejasne rojenia? Nie jest-że to mój blask, który lśni jeszcze, gdy dziewczę beznadziejne stoi wśród ciemnej nocy?

„Nie ja-ż to maluję szczęście matki, tulącej do piersi uśmiechnięte niemowlątko swoje? A czyż nie wymowniej o wiele, niż wszystkie słowa by zdołały — wyrażam boleść jej, gdy swego ulubieńca trumienkę kwiatami stroi? Znalazłżebyś słowa, któreby z całą prawdą odmalowały, stan wewnętrzny dwóch przyjaciół długo rozdzielonych, a którzy nareszcie widzą się znowu i w długiem mocnem uściśnieniu trzymają się wzajem; albo, gdy ojciec do swego, syna wracającego z wojny, z błyszczącym na piersiach znakiem zasługi, witające wyciąga ramiona? Wtedy wypowiadam ja, ale ja sama tylko wypowiadam, co wysoko i w pełni całą pierś człowieka porusza.

„Wierną pozostaję przez całe życie człowiekowi, w jego rozkoszach i w jego najgłębszych boleściach. Czy go los wynosi, czy ugina do ziemi, jako wierna towarzyszka trwam przy nim i nie opuszczam go nigdy.

„A gdy już wreszcie dochodzi do kresu, gdy już nić życia jego do ostatka rozwinięta z kłębka, tak, że złamany, zaledwo zdolny podnieść bezsilną rękę do pożegnania Swoich Miłych i zimnémi usty wyszeptać im ostatnie: „Bądźcie zdrowi"; wtedy ja to, ja sama tylko spływam powoli, zwiastując spokój umierającemu i jego ostatnie pozdrowienie przynosząc pozostałym.

„Ilekroć także człowieka pochwycą smutek lub radość zawsze wywołują mnie z najgłębszej głębi. Tylko chłodnemu, zakamieniałego serca człowiekowi nie służę, — nie zna mnie on! ponieważ nigdy wyżyn życia, głębin życia nie widział i nie pojął; dla tego więc braknie mu wysokiego, wspaniałego szczęścia: brak mu łzy, która zawsze wieści bliskość Boga. Dla tego moją siedzibą są także i po największej części piersi ubogich i uciśnionych, którzy gdy się mogą wypłakać do syta, czują dopiero jaką to lubą i wierną przyjaciółką jest łza.

„Milcz więc, gdy się powieki oczu twoich otworzą a ja wypowiadam to, co pełnem sercem porusza." *W. O.*

RÓŻNOŚCI ZE ŚWIATA.

Piękna zbrodniarka. Dnia 1. b. m. rozpoczął się w Aix proces przeciw kobiecie, która dopuściła się zbrodni potrójnego morderstwa. Proces ten więcej obecnie zajmuje Francję, aniżeli wszystkie pytania polityczne danej chwili, aniżeli swary pomiędzy obu zapaśnikami o wolność nauczania we Francji: gnębiącym kler katolicki p. Ferrym i broniącym go, starym apostołem wolnego słowa, Juljuszem Simonem.

Oskarżenie o potrójne morderstwo zwraca się przeciw kobiecie czarującej piękności, nazwiskiem Baptystyna Faret z Lambesc, małej mieściny w departamencie Aix. Piękność oskarzonej ma upajać oczy...

Baptystyna należała do czcigodnej rodziny i odebrała należyte wychowanie, od dziecięcych lat okazując już gorącą żądzę swobody i niezależności; tłum wielbicieli, oświadczających się o jej rękę, odprawiała nielitościwie, twierdząc, że nie pragnie wyjść za mąż.

Złe języki w Lambesc szeptały wprawdzie na ucho o eleganckich awanturkach młodego dziewczęcia, co usprawiedliwiało po części wstręt Baptystyny do małżeństwa.

— Nie chce oszukać uczciwego człowieka — mawiali jedni.

— Kocha swobodę i nie chce się dać skrępować — odpowiadali przychylniejsi jej.

Tem większem było zdziwienie, gdy nagle zapowiedziano związek ślubny pięknej Baptystyny z Bartłomiejem Philip. Szczęśliwy narzeczony, który miał posiąść jedną z najcudowniejszych istot na świecie, był to chłopak dobroduszny, zacny, tęgi i rosły, jak dębczak.

Długo wzdychał on melancholijnie do księżyca, zanim prośby jego zostały wysłuchane przez Baptystynę.

Owe „złe języki“ twierdziły, że na postanowienie tej niesfornej „piękności“, wpłynęły raczej poufałe stosunki jej z wujem Bartłomieja, Laurentym Philip.

Laurenty był człowiekiem żonatym, znanym w okolicy „smakoszem życia“. Miał on stosunek romansowy z ciotką Baptystyny, Magdaleną Faret, i w pomieszkaniu ostatniej poznał śliczną dziewczynę, w której żyłach płynęła także gorąca krew ciotki. Pokochawszy ją, a pragnąc, żeby mu jej nie odebrał jaki młody, a umiejący strzedz swojej własności wieśniak, Laurenty wydał ją za siostrzeńca.

Na wiosnę r. 1870 odbyło się wesele; miodowe miesiące przeszły rozkosznie. Nie było ani jednej chmurki na horyzoncie, a młody Philip widział szczęście swoje w różowych kolorach. Ale smugę marzeń jego przerwała wojna. Musiał udać się do armii.

Pani Philip odosobniła się po wyjeździe męża od całego świata, nie przyjmowała żadnych odwiedzin, a wreszcie, dla rozrywki udała się w podróż. We wrześniu opuściła Lambesc, w końcu października wróciła.

Przyjaciółka, wychowanica starej, ciężką chorobą od dawna przykutej do łoża wdowy, zaproponowała jej, ażeby poświęciła się czuwaniu nad chorą, a pani Philip chętnie zgodziła się na to.

Z końcem lutego 1871 roku objęła ten samarytański obowiązek u wdowy Martin, a dnia 10 marca umarła chora. Nagła jej śmierć wywołała niejaką sensację, ale doktor, który dnia 9. marca po czterykroć nieboszczkę odwiedzał, twierdził, iż śmierć jej była naturalną.

W kwietniu Bartłomiej powrócił z pola walki i objął znowu zarząd w olejarni, który dawniej piastował.

I jeszcze nie widać było chmurek na horyzoncie małżeńskim; — Bartłomiej wyrażał się o swej żonie jak kochanek, ona wynagradzała czułością jego uczucie.

Laurentego przyjmowano zawsze gościnnie i serdecznie. Dopiero w r. 1876 położenie zmieniło się.

Wuj owdowiał i wyraził chęć zamieszkania w domu siostrzeńca. Bartłomiej byłby niezwłocznie do życzenia wuja się przychylił, gdyby tenże w ostatnich czasach nie począł oddawać się nazbyt nałogowi pijaństwa, uczynił on jednak wujowi inną propozycję, którą tylko człowiek oślepiony miłością uczynić może.

— Baptystyna będzie wuja codzień odwiedzać i dom twój we wzorowym porządku utrzymywać.

Ten układ rzeczy nie zadawalał jednak Laurentego, uskarżał się on na osamotnienie i począł mówić coraz częściej o wejściu w powtórne związki małżeńskie.

Baptystyna starała się go pocieszać i zapraszała do własnego domu na wieczerze, podczas kiedy Bartłomiej pracował do późnej nocy w swej fabryce.

Pewnego wieczora, wuja, powracającego po takiej wieczerzy do domu, napadły w drodze straszne boleści. Nazajutrz z rana wezwano doń lekarza, w południe notaryusza, a wieczorem Laurenty wyzionął ducha.

Młodzi małżonkowie odziedziczyli cały jego majątek...

I ta śmierć wywołała w miasteczku sensację, ale doktor skonstatował napad apoplektyczny, a młoda pani Bartłomiejowa wydawała się w żalu niepocieszoną. Ilekroć w przytomności jej mówiono o śmierci wuja, mdlała. Naturalna jednak żywość Baptystyny zwyciężała niebawem jej smutek. A do tego, małżonek nie zaniedbywał niczego, coby mogło uśmiechem szczęścia opromienić jej życie.

Co niedziela w lecie wywoził on swoją żonę na wieś, a w zimie przepędzali wieczory w kawiarni miejscowej.

W dniu św. Sylwestra r. 1878 spędzili małżonkowie całe popołudniu i wieczór w kawiarni. Późno już bardzo powrócili do domu, a nazajutrz Bartłomiej miał wcześnie udać się do fabryki.

Z uwagi na to, Baptystyna przyrządziła mu jeszcze w kawiarni czekoladę, ulubiony jego napój; nazajutrz wziął Bartłomiej ze sobą czekoladę i kawał chleba do fabryki. Ale zaledwie pierwszy haust połknął, uczuł gwałtowne dreszcze i padł na ziemię...

Towarzysze zanieśli go co prędzej do domu — po kilku godzinach nie żył...

Lekarz skonstatował znowu zgon naturalny.

Tym razem jednak opinia publiczna w Lambesc nie pozwoliła się ukołysać... Powstał otwarty tumult, poczęto mówić powszechnie o morderstwie.

Sąd wdał się w sprawę, a ponieważ wyśledzono, iż przed śmiercią wdowy Martin, z mieszkania jej znikła znaczna ilość papierów wartościowych, wdrożono nareszcie surowe śledztwo.

Trupy Bartłomieja, Laurentego i wdowy Martin wydobyto z ziemi, a śledztwo okazało, iż wszystkie te trzy osoby zostały otrute arszenikiem.

Teraz poczęły się rozwiewać niektóre tajemnice.

W r. 1869 wstąpiła Baptystyna dla uwolnienia się z pod władzy rodziców, w obowiązek do pewnego doktora, p. H. Girard; tam miała swobodny przystęp do puszki z lekarstwami, i tam zaopatrzyła się w sporą dozę trucizny na różne wypadki życia.

Sąd wyśledził także powód tajemniczej podróży Baptystyny w jesieni w r. 1870. Świeża podówczas mężatka, miała zostać matką przed czasem, a ponieważ obawiała się męża, pojechała do Marsylii.

Potrójna morderczyni dotychczas zaprzecza jakoby w jakimkolwiek stała związku z którąkolwiek z trzech zbrodni.

W kilka dni skończył się jej proces w Aix; wyrok wydany, zważywszy zimną krew i wyrafinowane okrucieństwo, z jakiem oskarzona popełniała swe zbrodnie, zdaje się być za łagodnym.

Baptystyna stanęła przed sądem bez żadnej trwogi i pomięszania, z tą pewnością siebie, którą tylko poczucie niewinności dać może. W toku rozprawy jej usposobienie znacznej uległo zmianie.

Swobodny uśmiech, z jakim odpowiadała na wszystkie zadawane sobie pytania, zniknął niebawem z pięknego lica, ustępując miejsca trupiej bladości: głos jej, tak piękny i jasny, począł mięszać się, drzeć i utykać.

Zwolna, nieśmiało i cicho wydobywały się teraz wyrazy ze zbolałej jej i zatrwożonej piersi; widocznie upadła na duchu pod ciężarem poczucia zbrodni i oskarzenia o potrójne morderstwo.

Podczas mowy prezydenta sądu, gdy nazwiska jej ofiar ciągle do uszów jej dochodziły, poczęła chwiać się, konwulsyjnie chwytać za ławę oskarzonych, obok której stała, nareszcie upadła zemdlona na ziemię.

Musiano przerwać rozprawę.

Jeszcze raz powtórzył się takiż sam wypadek.

Gdy morderczyni, powróciwszy do więzienia, przyszła do przytomności, wybuchła gwałtownym płaczem i nie przyjmowała pokarmu.

Sąd przysięgłych odpowiedział twierdząco na wszystkie pytania o winę, wszakże dopuścił łagodzące okoliczności; uznał przeto Baptystynę Faret winną potrójnego morderstwa za pomocą trucizny, dokonanego na wdowie Martin, na wuju jej Laurentym Philip i mężu Bartłomieju Philip.

Wyrok sądu brzmiał: dożywotnie roboty przymusowe.

Testament królowej Krystyny. Testament zmarłej w r. z. w Paryżu królowej hiszpańskiej Marji Krystyny de Borbon y Borbon, matki Izabeli (datowany d. 31. Grudnia 1874 r. z kodycylem datowanym d. 6. Września 1875 r.), został d. 13. z. m. w Londynie ogłoszonym.

Akt ten przeznacza bardzo znaczne sumy na czytanie mszy świętej za duszę zmarłej i drogich jej osób.

5000 mszy ma się odczytać za jej duszę, równa liczba za duszę zmarłych jej mężów, 1000 za duszę zmarłych dzieci, 500 za wnuków — razem 11.500 mszy.

Również zostawia nieboszczka wielkie zapisy dla ubogich we Francji i Hiszpanji.

Co do pozostałych papierów, testament rozporządza niemi jak najdokładniej. Mają być one podzielone na cztery kategorje: listy z interesami, dalej polityczne, poufałe i tajne.

Sekretarz nieboszczki, Don Antonio Maria Rubio, otrzymał polecenie przesortowania tych listów i ma oddać pierwsze trzy kategorje synowi królowej, Don Ferdynandowi, ostatnią zaś córce, Donnie Marji Krystynie i to w opieczętowaniu.

Te opieczętowane paczki mają być otwarte dopiero w 40 lat po śmierci królowej, a to nie dla tego, iżby ta obawiała się ich publikacji, ale ze względu na żyjących.

Pisma, które odnoszą się do rządów Hiszpanji, mają być oddane, wnukowi jej, królowi Alfonsowi.

Majątek bardzo znaczny królowej rozdzielonym został pomiędzy rodzinę.

Munkaczy jako malarz szyldów. Znakomity węgierski malarz Michał Munkaczy, w jednym węgierskim dzienniku pisze o sobie: W r. 1863 zamieszkiwałam w Peszcie na przedmieściu Leopoldstadt maleńki pokoik u szewca nazwiskiem Sonnenschein. O malarstwie miałem wówczas jeszcze bardzo mało pojęcia, jednak ponieważ gospodarz pomieszkania widział, że czasem zajmuję się rysowaniem, prosił mnie, żebym mu wymalował szyld szewski. Z chęcią uczyniłem zadość jego żądaniu i wystrychnąłem szyld, na którym jego własna, czcigodna osoba widoczną była, w pozycji szycia butów z zapałem. Panu majstrowi podobała się moja praca tak dalece, że prosił mnie o odportretowanie jego połowicy. I temu żądaniu uczyniłem zadość. Lecz nie na tem koniec. Mój przyjaciel szewc prosi mnie znowu, żebym jego potomstwo, a było tego z tuzin, uwiecznił na płótnie — jednak od spełnienia tego żądania szczęśliwie się jakoś wymówiłem. Miałem dość na dwóch obrazach: szyldzie i portrecie pani majstrowej, które zresztą całkiem przyzwoicie zapłaconemi zostały. Dostałem za nie od pana majstra parę podszytych butów, a nadto opuścił mi pół miesiąca czynszu. Kiedy temi dniami byłem w Peszcie, zaszczycił mnie pan majster swojemi odwidzinami i przyniósł ze sobą równocześnie obydwa portrety, prosząc mnie, żebym się na tych obrazach podpisał. I dla czegoż nie miałbym tak słusznemu żądaniu zadość uczynić? Uczyniłem jak żądał. Zrobiłem jemu przez to uciechę a i mnie było przyjemnie ujrzeć obrazy, o których zupełnie zapomniałem.

Przestroga! Fatalny zwyczaj niektórych pań wtykania szpilek do pierwszej lepszej chustki czy szalu, znajdującego się pod ręką, znowu w tych dniach był w Berlinie powodem bardzo smutnego wypadku.

Córka pewnego urzędnika kolejowego, chcąc późnym wieczorem siedzieć przy otwartem oknie, zarzuciła na głowę szal, w którym tkwiła zapomniana szpilka.

Zaledwie też ściągnęła szal, aby go związać pod szyją, z krzykiem upadła na ziemię zemdlona.

Szpilka weszła jej od skroni do oka, które lekarze uważają za stracone...

Moda zawierania małżeństw, za pomocą ogłoszeń, nie została u nas jeszcze na szczęście zaprowadzoną razem z innemi zagranicznemi nowaljami.

Od czasu do czasu dają się jednak widzieć ochotnicy w tym kierunku, pragnący zaaklimatyzować na naszym gruncie zachodni wynalazek!

Oto i w tej chwili leży przed nami list „wdowca w średnim wieku“, który pragnie, ażebyśmy ogłosili, iż życzy sobie; „pojąć za żonę osobę charakteru łagodnego, nie lubiącą żyć nad stan, dobrą gospodynię i przytem dobrego prowadzenia!“

Osoby posiadające te wszystkie zalety musimy zawiadomić z przykrością, że oferta „wdowca“ wraz z jego adresem znajduje się obecnie w koszu redakcyjnym.

W drukarni narodowej W. Manieckiego przy ulicy Grodzickich l. 4.